

Krzysztof Wołodźko: Stoimy osobno, przegramy osobno

Oddzielność widzenia, zamglenie perspektywy, brak w przestrzeni publicznej naprawdę głośnych rozmów o potężnych determinantach przyczynowo-skutkowych dotyczących struktur, a nie odprysków rzeczywistości, to groźna dysfunkcja myśli i wyobraźni polskiej – pisze Krzysztof Wołodźko w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Na co nam uniwersytet?.

Najpierw zacytuję poetę; polskiego Żyda – to zdaje się wciąż jest tolerowane. Julian Tuwim swego czasu napisał wiersz o strasznych mieszczanach: „Straszne mieszkania. W strasznych mieszkaniach / Strasznie mieszkają straszni mieszczanie. / Pleśnią i kopciem pełnie po ścianach / Zgroza zimowa, ciemne konanie. / Od rana bełkot. Bełkocą, bredzą, / Że deszcz, że drogo, że to, że tamto. / Trochę pochodzą, trochę posiedzą, / I wszystko widmo. I wszystko fantom. / Sprawdzą godzinę, sprawdzą kieszenie, / Krawacik musną, kłapy obciągną / I godnym krokiem z mieszkań – na ziemię, / Taką wiadomą, taką okrągłą. / I oto idą, zapięci szczelnie, / Patrzą na prawo, patrzą na lewo. / A patrząc – widzą wszystko oddzielnie / Że dom... że Stasiek... że koń... że drzewo...”.

W tym pamflecie na (drobno)mieszczaństwo poeta zawarł intuicję, która stwarza jeszcze jedną perspektywę analityczną/diagnostyczną w przypadku polskiego społeczeństwa i jego perypetii z rzeczywistością. Myślę o oddzielności myślenia, tendencjach do nie wiązania w całość rozlicznych aspektów ojczystej rzeczywistości: widzimy to m.in. w krótkowzroczności i naskórkowości dyskusji o systemie edukacji publicznej, służbie zdrowia, służbie cywilnej i jakości infrastruktury publicznej na jej niższych szczeblach (przepraszam, przeholowałem, na te dwa ostatnie tematy w ogóle się nie rozmawia), czy wreszcie wyuczony wręcz bezradności państwa polskiego wobec problemów

ucieczki lokalnych elit z prowincji.

Oddzielność widzenia, zamglenie perspektywy, brak w przestrzeni publicznej naprawdę głośnych rozmów o potężnych determinantach przyczynowo-skutkowych dotyczących struktur, a nie odprysków rzeczywistości, to groźna dysfunkcja myśli i wyobraźni polskiej. A schorzenia głęboko społeczne zawsze mają swój wymiar okołopartyjny czy okołomedialny. Jeśli dodamy do tego statofobię (chorobliwy lęk przed etatyzmem/państwem) znacznej części rodzimych elit, również politycznych – zobaczymy sprawy z całą ostrością.

Kolejny cytat, którego chciałbym użyć, pochodzi z jednego z najważniejszych artykułów, jakie czytałem w ostatnich miesiącach: „Posprzątać wyzysk – o solidarności studentów z portierami i sprzątaczkami” Olgi Baszuro, studentki Akademii Sztuki w Szczecinie (kilka dni temu autorka zmieniła panięskie nazwisko na Apiecionek). Tekst został opublikowany w 46 numerze Biuletynu Inicjatywy Pracowniczej. Rzecz momentami czyta się jak szkic dziewiętnastowiecznej powieści realistycznej. Niewykluczone, że w arcynowoczesnych dekoracjach właśnie wracamy w tamte okolice. I za dekadę, dwie, dyskusja o kwestiach klasowych i rozumianym po „staroświecku” postępie społecznym wróci do nas w pełnej krasie. Tym bardziej, że coraz więcej symptomów wskazuje na restaurację polskośći dzielonej warstwowo między nowobogacką arystokrację, wyższy i niższy kler, intelektualistów, uboższą i ubogą pracującą inteligencję i szerokie rzesze „chamstwa”, którego konstytucyjne prawa będą jedynie listkiem figowym w urządzonym wedle logiki pieniądza, władzy, splendoru i prestiżu świecie.

A teraz dłuższy cytat: „w grudniu 2015 r. nieformalna grupa studentów i studentek Akademii Sztuki w Szczecinie wystosowała list otwarty do Rektora, informujący o dramatycznych warunkach pracy portierów i sprzątaczek pracujących na uczelni. Impulsem do podjęcia działań przez studentów była informacja o odejściu z pracy dwójki niezwykle popularnych i lubianych przez społeczność akademicką pracowników portierni – Ryszarda i Krystyny Piernikowskich. Decyzja o ich rezygnacji z pracy była dla studentów o tyle niezrozumiała, że Państwo Pierniowscy pracowali na uczelni od dwóch lat i wydawali się zadowoleni ze swojej pracy. Mili, sympatyczni, uśmiechnięci, zawsze z ogromnym zaangażowaniem wykonujący swoje zadania. Jak się okazało odejście z pracy było motywowane nieludzkim i ogromnie poniżającym

traktowaniem ze strony ich pracodawcy, firmy Ecotrade świadczącej usługi ochrony m.in. dla Akademii Sztuki w Szczecinie.

W grudniu 2015 r. Pani Krystyna, chorująca na cukrzycę, trafiła w ciężkim stanie do szpitala. Drugiego dnia pobytu w szpitalu odwiedzinami zaszczycił ją przedstawiciel firmy Ecotrade, który nakazał jej podpisanie zawieszenia umowy na czas choroby. Dla Pani Krystyny było to o tyle niezrozumiałe, że pracując na umowę zlecenie i tak nie otrzymuje żadnego wynagrodzenia podczas choroby. Z tego powodu, że Państwo Piernikowscy są rodzicami niepełnosprawnej córki, z pracy musiał zrezygnować również Pan Ryszard, aby się nią opiekować. Rodzina Piernikowskich w okresie przedświątecznym została całkowicie pozbawiona dochodów”.

Ot, wigilijna opowieść na miarę realnego liberalizmu III Rzeczypospolitej. Ale studentki i studenci Akademii Sztuki postanowili zaprotestować. Gdy zawiadomili o sprawie Związek Zawodowy Nauczycieli Akademickich (ZZNA) okazało się, że od dawna uczelniani portierzy pracują na tzw. umowach śmieciowych. A to wiąże się choćby z 24-, a nawet 36-godzinnymi dyżurami, bez żadnych przerw w pracy. I jeszcze drobny cytat: „wynagrodzenie portierów i portierek oscyloowało wokół 4 złotych za godzinę pracy, natomiast sprzątaczkę – zatrudniane przez firmę DEA Natalia Kot-Palicka – pracowały bez żadnej umowy o pracę, z wynagrodzeniem od 800-1000 złotych miesięcznie”. Protest studentów nagłośnił problem, ale rzecz wciąż nie znalazła pozytywnego zakończenia: szczecińska uczelnia prowadzi obecnie działania na rzecz zmiany sytuacji w zespołach złożonych z przedstawicieli studentów i władz.

Ogólnopolskie fatalne realia outsourcingu usług ochrony i sprzątnia przez instytucje publiczne to dziś tajemnica poliszynela. Obszerny raport na ten temat przygotowała przed blisko rokiem Katarzyna Duda, ekspertka Ośrodka Myśli Społecznej im. Ferdynanda Lassalle`a. W wywiadzie dla „Nowego Obywatela”, pod wymownym tytułem „Rzeczpospolita Wyzysku”, mówiła, że gdy podejmowała badania, była przekonana, że to może niedopatrzenie albo niewiedza, iż można zamawiać usługi, zabezpieczając prawa pracowników.

Z czasem jednak badaczka zmieniła zdanie: otóż mamy do czynienia ze świadomą polityką zlecenia usług tak, aby było taniej, choć kosztem pracowników. Nie jest to ciche przyzwolenie, lecz instytucjonalny

nakaz: „analizy poprzedzające zamówienia koncentrują się głównie na sprzęcie, maszynach i pracownikach. Nie jest zatem tak, że nikt nie myśli o tym, jakie będą koszty zatrudnienia. Przeciwnie – chce się oszczędzić na ubezpieczeniu, chorobach i wypoczynku, czyli urlopie pracownika. Stąd umowy cywilnoprawne są korzystniejsze.

Ochroniarze, z którymi rozmawiałam, kiedy chorują, często płacą swoim kolegom, żeby ich zastępowali. Także po to, żeby nie stracić pracy: gdyby ktoś wskoczył na ich miejsce, mógłby już zostać. (...)

Wszystkie ogniwa tego systemu żyją w niepewności, a na końcu jest szeregowy outsourcingowany pracownik, u którego niepewność przyszłości jest największa. Dotyczy to zwłaszcza uniwersytetów, na których niepewność dotacji jest największa i prawie nie istnieje klasycznie rozumiana społeczna odpowiedzialność”.

Zapytałem Olgę Apiecionek (z domu Baszuro), czy da się wyprowadzić przyczynowo-skutkowe związki między pogarszającą się sytuacją nisko wykwalifikowanych pracowników a sytuacją kadry naukowej w Polsce. Jej odpowiedź współbrzmi z coraz powszechniej dyskutowanymi faktami. Mamy do czynienia z kolejnymi szybko następującymi fazami prekaryzacji pracy w Polsce. W tej chwili następuje gwałtowne pogorszenie warunków pracy i płacy w zawodach, które nie cieszą się dużym prestiżem społecznym, takich jak np. ochroniarz, sprzątaczką. Nie tak mała część reprezentantów opinii publicznej uznaje to za normalne i zakłada, że portierzy, sprzątaczkę, ochroniarze „sami są sobie winni”.

Apiecionek zwraca uwagę na mozaikę społeczno-gospodarczych czynników związanych z takimi procesami: – To już ostatni moment, by uzmysłwić sobie, że jeśli nie podejmiemy działań zapobiegających procesom uśmieciowienia pracy, to za parę lat w celu „optymalizacji kosztów” ktoś wpadnie na pomysł, że taniej jest zatrudnić pana doktora, czy panią profesor na umowę zlecenie, bo pozbędzie się „problemu” urlopów wypoczynkowych, macierzyńskich, zdrowotnych i ubezpieczenia zdrowotnego, a my jako społeczeństwo znów uznamy, że to normalne, bo trzeba było robić karierę w korporacji, zamiast „romantycznie” oddawać się misji rozwoju nauki i edukacji. A przecież wypadnięcie z systemu socjalnego, tj. zostanie bezdomnym lub bezrobotnym, może odbyć się bardzo szybko. Choćby gdy trzeba będzie skorzystać z usług medycznych, których nie pokrywa wykupiony przez nas pakiet ubezpieczeniowy, w związku z czym zostaniemy z ogromnym długiem. Na jedną historię „od pucybuta do milionera”

przypada tysiące historii „od milionera do pucybuta”, ale tej twarzy wolny rynek akurat pokazywać jakoś nie lubi.

Na podobne kwestie zwraca uwagę Aleksander Temkin, koordynator Komitetu Kryzysowego Humanistyki Polskiej, doktorant filozofii w ramach MISH Uniwersytetu Warszawskiego. W rozmowie z „NO” przypominał, że naukowcy byli jedyną branżą, a uniwersytety jedynymi zakładami pracy, które w ostatnim ćwierćwieczu w zasadzie nie protestowały: nie było w tym czasie żadnego strajku akademickiego. Tymczasem stopniowo kształtuje się system szkolnictwa wyższego, który bazując choćby na niżu demograficznym, prowadzi do wygaszenia mniejszych ośrodków akademickich, ośrodków niemetroplitalnych, innych niż Kraków, Warszawa, Poznań. Nie można również wykluczyć, że finansowanie publicznych uczelni docelowo będzie przerzucone częściowo na samorządy. To wprost wiąże się z pauperyzacją prowincjonalnych uczelni publicznych a w konsekwencji z ich stopniowym wygaszaniem i/lub prywatyzowaniem.

Na uczelniach na umowach śmieciowych zatrudniani są wciąż najczęściej pracownicy techniczni: szatniarze, sprzątaczkę, ochroniarze. Ale coraz częściej dotyczy to bibliotekarek. Umowy śmieciowe świecą już w oczy adiunktom i profesurze. Aktywista uniwersytecki mówi bez ogródek: „Przerzucenie ciężaru finansowania na środki z grantów pozwala utrzymywać je na smyczy niepewności. Jednocześnie konieczność konkurowania o pieniądze sprawia, że na drugi plan schodzi głębokość cięć finansowania. Mówi się, że w tym systemie mogą ostać się tylko najlepsi, a kto nie otrzymuje finansowanie grantowego – widocznie nie był najlepszy i sam jest sobie winien, że nie przeżył. Przy czym cięcia zaszły tak daleko, że nawet dyrekcja agencji finansujących badania przyznaje, że konkurencja ma charakter ruletki. To wszystko ustawia środowisko naukowe w pozycji winnego, który okazuje się zbyt słaby, by pozyskać środki. (...) Co gorsza, część osób reprezentujących prospołeczny punkt widzenia chwali tę elastyczność zatrudnienia i finansowania jako sposób na przezwycięzenie uczelnianego »feudalizmu«. Niestety widzimy, że zwiększona konkurencja o zmniejszone środki prowadzi raczej do odtwarzania i utrwalania układów klientelistycznych”.

Szczecińska wspólnota studencka, która odważyła się bronić małżeństwa pracującego na portierni Akademii Sztuki, trafnie zrozumiała problem: jeżeli wszyscy będziemy stali odwróceni, gdy

dzieje się społeczna i ekonomiczna krzywda najsłabszym, z dużym prawdopodobieństwem w przyszłości także pozostaniemy osamotnieni. Parafrazując znane zdania pastora Martina Niemöllera: kiedy rozpanoszył się wyzysk ochroniarzy, nie protestowałem. Nie byłem przecież ochroniarzem. Kiedy rozpanoszył się wyzysk sprzątaczek, nie protestowałam. Nie byłam przecież sprzątaczką. Kiedy rozpanoszył się wyzysk portierów, nie protestowałem. Nie byłem przecież portierem. Kiedy rozpanoszył się wyzysk bibliotekarek, nie protestowałam. Nie byłam przecież bibliotekarką. Kiedy mnie dotknęła niesprawiedliwość społeczna, nikt nie protestował. Wszyscyśmy przegrali osobno.